

ROMAN KOSECKI
ORAZ DARIUSZ FARON I DARIUSZ DOBEK

KOŚA

NICZEGO NIE ŻALUJĘ

KOŚA

NICZEGO NIE ŻAŁUJĘ

[Kup książkę](#)

ROMAN KOSECKI
ORAZ DARIUSZ FARON I DARIUSZ DOBEK

KOSA

NICZEGO NIE ŻAŁUJĘ

WARSZAWA 2020

BIBLIOTEKA
PRZEGŁAD
SPORTOWY

[Kup książkę](#)

Tekst © Copyright Roman Kosecki, 2020

Tekst © Copyright Dariusz Faron, 2020

Tekst © Copyright Dariusz Dobek, 2020

REDAKCJA: Michał Zaranek

KOREKTA: Marcelina Szewczyk

PROJEKT OKŁADKI: Przemysław Piotrowski

DTP: INSATSU Michał Żeleznikowicz

FOTOEDYCJA: Jarosław Arczewski

KOORDYNATOR PROJEKTU: Katarzyna Drosio

ZDJĘCIA:

OKŁADKA: Jan Rozmarynowski/Forum, Piotr Kucza/FotoPyk, Onet (2)

ŚRODEK: Archiwum prywatne Romana Koseckiego (39), Andrzej Iwanczuk/REPORTER, Mirosław Trembecki/PAP, Studio69/Forum, AMALVY/AFP/East News, Andre Durand/AFP/East News, archiwum TVP/Forum, Mieczysław Świdorski/Newspix.pl (2), Marek Żochowski/Newspix.pl, Eugeniusz Warmiński/archiwum Legii, Teodor Klepczyński/Newspix.pl, Marek Biczys, Piotr Nowak, Jacek Koziół, Włodzimierz Sierakowski/400mm (3), Getty Images (2)

WYDAWCA:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 49

02-672 Warszawa

ISBN: 978-83-8091-960-0

Warszawa 2020

S P I S T R E Ś C I

Wstęp.....	7
ROZDZIAŁ 1: Z Kosą lepiej nie zaczynać.....	11
ROZDZIAŁ 2: Ulubieniec Żylety.....	33
ROZDZIAŁ 3: W krainie szamanów	63
ROZDZIAŁ 4: Pipoloki i basiory	85
ROZDZIAŁ 5: W szponach wielkiego Jesusa.....	107
ROZDZIAŁ 6: Narkoman obejmuje kadrę	137
ROZDZIAŁ 7: Klatka kanarków	175
ROZDZIAŁ 8: Spalony na stosie	197
ROZDZIAŁ 9: Jak zostałem mistrzem świata	229
ROZDZIAŁ 10: W sejmowej drużynie	249
Podziękowania.....	267
Bibliografia.....	269
Zdjęcia	271

WSTĘP

Choć minęło już prawie 50 lat, potrafię odtworzyć ten moment, jakby to było dziś. Tuż przed wejściem do siedziby klubu RKS Mirków mama zdjęła mnie z siodełka roweru, przypominając: „Pamiętaj, żeby ładnie się przedstawić”. Niepewnie pchnąłem drzwi, a po chwili ujrzałem swoich pierwszych trenerów, Wojciecha Szałapskiego i Henryka Węclawiaka. Powiedziałem cicho:

– Dzień dobry, nazywam się Roman Kosecki.

Z mojego rodzinnego domu do klubu jest zaledwie kilka kilometrów, ale właśnie tamtego dnia wyruszyłem w bardzo daleką podróż. Od Konstancina, przez Warszawę, Sztambuł, Pampelunę, Madryt, Nantes, Montpellier, aż po Chicago. Byłem kapitanem reprezentacji Polski, strzelałem gole Barcelonie i Realowi Madryt, występowałem w półfinale Ligi Mistrzów. Dzieliłem szatnię z takimi piłkarzami jak Kiko, Diego Simeone czy Claude Makélélé, a za przeciwników miałem Diego Maradonę, Romário,

Bebeto i Emilio Butragueño. Legendarny Johan Cruyff mówił swego czasu, że dobrze byłoby mieć „Kosę” na Camp Nou. Spotykałem na swojej drodze szalonych działaczy, od Mariana Dziurowicza po legendarnego Jesusa Gila w Atlético Madryt. Czasem bywało śmiesznie, innymi razy trochę strasznie. W Turcji największa gwiazda klubu groziła mi, że jeśli nie będę podawał, to mnie zastrzeli. We Francji na własne oczy widziałem, jak prezes jednej z najlepszych wówczas drużyn w Europie zabiera na mecz szamana, by ten wyczarował mu awans. Jednym słowem, naprawdę jest co wspominać.

Przez kilkanaście lat kariery napisano o mnie dziesiątki artykułów. Udzieliłem też setek wywiadów, jednak nadszedł dobry moment, by wreszcie opowiedzieć wszystko od A do Z. Być może zabrzmi to trochę patetycznie, ale chciałem przeżyć to jeszcze raz.

Zapewne dla starszych kibiców autobiografia będzie podróżą w czasie, a dla młodszych – swego rodzaju świadectwem, bo należą do świata, który odchodzi w zapomnienie. Rzeczy, które obecnie nie mają prawa się zdarzyć w żadnej reprezentacji na świecie, dla nas stanowiły chleb powszedni. Od przyjeżdżania na kadrę za własne pieniądze, po długie zgrupowania w hotelach z klubem

go-go w piwnicy. Przez kilka lat byłem kapitanem drużyny uznanej za przeklętą, bo choć miała w składzie świetnych zawodników, niczego nie osiągnęła. Wokół „mojej” reprezentacji Polski powstało bardzo wiele mitów. Jedne miały sporo wspólnego z prawdą, inne już niekoniecznie. Pora wyprostować kilka kwestii.

Kiedys nazwisko Kosecki było gwarancją piłkarskiej jakości. Dziś, kiedy jestem już jakieś 50 kilogramów cięższy, a buty dawno powiesiłem na kołku, mogę zagwarantować wam tylko jedno: szczerość. Liczę, że podczas lektury tej książki kilka razy się uśmiechniecie, ale być może znajdą się i tacy, którzy mocno się na mnie wkurzą. Trudno. Jako piłkarz nigdy nie gryzłem się w język, teraz tym bardziej nie widzę powodu, by to robić. Zawsze uważałem, że trzeba mówić, co się myśli i tak samo jest w tej książce. Nie tylko ze względu na szacunek do czytelnika. Przed przystąpieniem do pracy nad autobiografią moja żona Jadzia powiedziała mi: „Jeśli się wybielisz i wykreujesz na świętego, to pochowam cię na Wawelu”. A ja wolę leżeć w Konstancinie, więc nie mam wyjścia...

Dzień dobry, nazywam się Roman Kosecki. Najwyższy czas się poznać.

ROZDZIAŁ 1

Z KOSĄ LEPIEJ NIE ZACZYNAĆ

Drzwi chaty zatrzęsnęły się. W największej izbie tłoczyło się już kilkanaście osób – sąsiad zaprosił na mecz chyba całą wioskę, bo jako jeden z nielicznych miał telewizor. Każda para oczu wpatrzone była w mały kwadrat, który rzucał na drewnianą podłogę szarą poświatę. Z otwartą buzią patrzyłem, jak kadra Kazimierza Górskiego walczy z RFN-em na wodzie o pierwszy w historii naszej reprezentacji finał mistrzostw świata. Jeszcze przed bramką Gerda Müllera usłyszeliśmy potężny grzmot i niebo rozdarła błyskawica, po której w chacie zrobiło się ciemno. Burza sprawiła, że w całej okolicy wysiadła elektryczność i ekran z czarno-białego zrobił się czarny. Wzburzenie wszystkich zebranych było ogromne, bo tamtego lata, w 1974 roku, cała wioska żyła pracą i mundialem. O telefonie komórkowym czy komputerze nikt jeszcze nawet nie marzył, więc przez kilkadziesiąt minut nie mieliśmy

pojęcia, co do cholery dzieje się na zalanym wodą boisku we Frankfurcie. Dopiero po jakimś czasie sołtys przyjechał do chaty na rowerze i obwieścił, że przegraliśmy 0:1. Załamałem się, ale już wtedy, w wieku ośmiu lat, wiedziałem, że nie będę strażakiem ani policjantem, tylko drugim Grzegorzem Latą.

Jako młody chłopak niemal każde wakacje spędzałem we wsi Łączka u dziadków. Czas zajmowało mi głównie wypasanie krów i podkradanie jajek z kurnika, a gdy nie można było iść na mecz do gospodarza sąsiedniej chaty, babcia sadzała mnie obok i opowiadała o wierzeniach słowiańskich albo II wojnie światowej. Kiedy Niemcy albo Rosjanie wchodzili do wioski, dziadek uciekał do lasu, żeby się chować z partyzantami, a kobiety zagaśniały zwierzęta do zagrody. Raz moja rodzina otarła się o śmierć. Naziści pozajmowali chaty gospodarzy, wypędzając mieszkańców do obór. Gdy zaczęły się zbliżać wojska radzieckie, Niemcy rzucili się do ucieczki. Tuż przed tym, jak wyjechali, wyprowadzili babcię, mamę i ciocię za dom, a jeden z żołnierzy oddał trzy strzały tuż obok ich głów. Nie mam pojęcia, dlaczego tak zrobił, ale wiem jedno - niewiele zabrakło, a w ogóle nie byłoby mnie na świecie.

Choć opowieści babci mroziły mi krew w żyłach, uwielbiałem ich słuchać. Przed snem zawsze z trójką kuzynów musieliśmy odmówić pacierz. Gdy nadchodziła burza, babcia stawiała w oknie święte obrazy, by chroniły

nas przed niebezpieczeństwem. Kiedy piorun mijał naszą chatę, powtarzała, że ochronił nas Bóg. W niedzielę cała wioska spotykała się w kościele, do którego jechało się bryczką przez las.

Pochodzę z prostej rodziny – mama pracowała w fabryce papieru w Konstancinie, ojciec był murarzem. Oboje ostro zasuwali, żeby zarobić na chleb, więc często musiałem radzić sobie sam. Gdy byłem szkrabem, odwożono mnie do żłobka w poniedziałek, a odbierano w sobotę. Jak już trochę podrosłem, najczęściej spędzałem dzień na boisku. Byłem buntownikiem od najmłodszych lat. Starsi chłopcy ze szkoły brali mnie do drużyny, bo szybko zorientowali się, że młody Kosecki to kawał piłkarza. Za to nauczyciele spostrzegli, że młody Kosecki często spóźnia się na lekcje, bo ma do dogrania mecz na przerwie.

Nie szukałem awantur, ale czasem zdarzało się pójść na solo. Walczyło się zawsze do pierwszej krwi albo do słowa „basta” – jeśli je wypowiedziałeś, twój przeciwnik dostawał sygnał, że się poddajesz. Nigdy go nie używałem, wolałem już dostać. Dzięki takiej postawie wyrabiałem sobie szacunek. Starszyzna czasem chciała stanąć w mojej obronie, ale nie korzystałem z tego, że mam plecy. Pamiętam jednego cwaniaczka, który szukał guza. Zaczął mnie popychać, aż w końcu znalazłem się pod murem. Facet nie wiedział, że „Kosy” lepiej nie zaczepiać. Zanim się zorientował, dostał strzała i padł. Siadłem na nim okrakiem i okładałem go jakiś czas. Dostałem jakiegoś

szau. Kto wie, jak to by się skończyło, gdyby nie odciągnęli mnie nauczyciele. Co ciekawe, ja i ten gość później zostaliśmy najlepszymi kolegami. Mamę wezwano wtedy z pracy, ale rozeszło się po kościach. Ojciec budował dom dyrektora mojej szkoły. Jak przyszło co do czego, dyrektor zawsze mówił nauczycielom, że ten Romek to zdolny chłopak jest, a spóźnieniami i sporadycznymi bójkami nie ma się co przejmować.

W domu na ścianie wisiała dyscyplina – drewniany kij ze skórzanym rzemykiem. Wystarczyło, by mama udawała, że po nią sięga, żebym się uspokoił. Zdarzało się, że goniła mnie z tą dyscypliną, ale wtedy uciekałem na dach i czekałem, aż jej przejdzie. Zadania domowe robiłem oczywiście dwie minuty przed lekcją na kolanie. Po klasówkach modliłem się, żeby uniknąć dwójki, ale dawałem radę i nigdy nie kiblowałem. Raz po sprawdzianie kolega zaczął płakać. Pytam go, co się stało, a on, że dostał czwórkę z plusem, a chciał piątkę. Powiedziałem mu, że, za przeproszeniem, jest jakiś popieprzony. Nie chciało mi się tłumaczyć, że liczy się to, ile bramek wałęsałeś na boisku szkolnym, a nie jakie masz cyferki w dzienniku.

W wieku piętnastu lat debiutowałem w seniorach RKS-u Mirków na czwartym poziomie rozgrywkowym. Nawiasem mówiąc – jeśli myślicie, że najważniejszą osobą w klubie jest prezes albo trener, grubo się mylicie. Najważniejszy jest magazynier. W Mirkowie tę funkcję pełnił pan Pyzio, u którego miałem spore chody. Zwykle

nie chciał wydawać zawodnikom sprzętu. Nieraz wyskakiwał wkurzony z klubowego budynku i rzucał w innych pękiem kluczy. A tymczasem gdy moje korki rozpadły się ze starości, pan Pyzio zaprosił mnie do magazynu i wydał nowiutkie polsporty. Zawsze mogłem do niego wpaść po nowe spodenki czy koszulkę.

W Mirkowie mieliśmy fajną ekipę. Andrzej Zagończyk naprawdę dawał radę, występował między innymi w drugiej drużynie Legii Warszawa. Włodek Pabisiak poszedł później do Polonii. Janek Świątek spokojnie mógł grać w pierwszej lidze, ale jakoś mu nie wyszło. Był jeszcze Janek Grabski, największy gaduła w drużynie.

Kiedys przed meczem siedzimy w szatni, a Janek do nas:

– Chłopaki, dzisiaj na luzie wygrywamy, sędziuje mój kumpel.

W dziesiątej minucie ten kumpel pokazał mu czerwoną kartkę, a my dostaliśmy w dupę. Cóż, bywa.

Szybko się zaaklimatyzowałem w szatni, bo chłopaki zobaczyły, że „Kosa” coś potrafi. Pamiętam, jak graliśmy z rezerwami Legii na głównej płycie przy Łazienkowskiej. Mecz zakończył się wynikiem 3:3, a ja wałęnałem hat tricka, przedstawiając się klubowi w najlepszy możliwy sposób. „Dzień dobry, Romek jestem, dziś ukułem trzy razy, a kiedyś będę u was grał”. Już wtedy dotarli do mnie pogłoski, że działacze Wojskowych zapytali po meczu o gówniarza z Mirkowa. Wiedziałem jednak, że

nie jestem jeszcze gotowy na Legię. W wieku siedemnastu lat przeniosłem się do występującego na trzecim poziomie rozgrywek Ursusa Warszawa.

Zanim się zorientowałem, siedziałem w pociągu w dresie z orzełkiem na piersi, jadąc do Kijowa na swój pierwszy międzynarodowy turniej. W 1984 roku znalazłem się w kadrze juniorskiej reprezentacji Polski, która przywiozła z mistrzostw Europy do lat 18 brązowe medale. Wielu zawodników tamtej drużyny błysnęło później na ligowych boiskach, a niektórzy porobili międzynarodowe kariery.

Naszym liderem był Andrzej Rudy. Świetną robotę wykonywali też Jacek Ziober, Mirek Dreszer, Darek Wójtowicz czy Darek Marciniak. Jestem przekonany, że ten ostatni skończyłby w topowym europejskim klubie, gdyby nie utopił talentu w alkoholu. Wszyscy mieliśmy po siedemnaście, osiemnaście lat, a Marciniak grał jak senior. Między innymi dzięki niemu wygraliśmy wszystkie mecze grupowe – z Włochami, Bułgarią i Danią. Bułgarzy z Christo Stoiczkowem na czele popłakali się po meczu z nami, bo odebraliśmy im szansę na awans. Mokre policzki miał też nasz lekarz, Czesław Małkiewicz. Przed turniejem założył się z nami, że jeśli wejdziemy do półfinału, wykąpie się w hotelowej fontannie. Dotrzymał słowa.

Na boisku na pewno prezentowaliśmy się dużo lepiej niż poza nim. Trenowaliśmy w strojach po drużynie koszykarzy, a prócz tego dostaliśmy popielate garnitury bez

krawatów i... czerwone adidas. Wyobrażacie to sobie? Jak zobaczyliśmy z Andrzejem Rudym nasz galowy zestaw, od razu zapowiedzieliśmy, że w życiu tego nie założymy, bo wiocha na cały Kijów. Już na peronie ludzie patrzyli, co to za cyrkowcy przyjechali z Polski. Jednocześnie wiedzieliśmy, że przecież nie szata zdobi człowieka. Pewnego dnia przeprowadziliśmy z Rudym akcję dwójkową - poznaliśmy przepiękne rosyjskie dziewczyny i ruszyliśmy z nimi na miasto. Do hotelu Rossija wracaliśmy w czwórkę - tyle że nie z dziewczynami, lecz z dwoma tajnikami. Przez cały wyjazd pilnowali naszej reprezentacji, a pięć minut po przyjeździe do Kijowa odebrali nam paszporty. Tamta randka nie do końca się udała...

Jeśli chodzi o pozaboiskową skuteczność i kontakty damsko-męskie, królem strzelców całej imprezy został Darek Wójtowicz. Tym bardziej że gol strzelony na wyjeździe liczy się podwójnie. Otóż przydzielono nam przepiękną tłumaczkę. Tatiana, Irina, Anastazja, czy jak jej tam było na imię, zakochała się w Darku na zabój. Tyle tylko, że była córką wysoko postawionego oficera. Śmiałyśmy się więc, że jak coś będzie nie charaszo, to chłop ma przerabane. Do dziś pamiętam, jak stała na lotnisku i płakała za Wójtowiczem, gdy wylatywaliśmy do Polski.

Po świetnej fazie grupowej w Kijowie przenieśliśmy się do Moskwy. Chodziliśmy na coś w rodzaju marketu przy placu Czerwonym, gdzie sprzedawano sprzęty gospodarcze, o jakich w Polsce można było w dobie

komunizmu tylko pomarzyć. Największym zainteresowaniem cieszyły się żelazka. Gdy w tamtych czasach jechało się do Związku Radzieckiego, zakładało się kilka par dżinsów, żeby potem sprzedać je za ruble. Słyszałem kiedyś nawet historię, jak jedna z reprezentacji młodzieżowych leciała na turniej do Taszkientu i miała międzylądowanie oraz nocleg w Moskwie. Zamiast od razu ruszyć do hotelu, autokar podjechał pod ambasadę. Trener wytypował kilku chłopaków, którzy po chwili wrócili z ogromnymi worami. Cała drużyna była przekonana, że przynieśli sprzęt piłkarski, ale patrzą, a tam kilkaset par dżinsów na handel. Selekcjoner powiedział, że mają wszystko sprzedać i nie może zniknąć ani jedna para!

Z ręką na sercu - nie pamiętam podobnych akcji z juniorskich mistrzostw Europy 1984. Nie zapomnę natomiast chyba najgorzej zaplanowanego przemytu w historii reprezentacji Polski. Z kadrą do lat 21 poleciliśmy do Grecji. Pierwszego wieczora siadamy w pokoju i każdy zaczyna się chwalić, co przywiózł na handel. W pewnym momencie jeden z kolegów pokazuje tubkę po paście do zębów i wyciąga z niej plik banknotów. Wszyscy w szoku.

- Ty to masz łeb, stary! W ten sposób pieniądze przemycić...

- Nie, chłopaki, to bony do Peweksu są. Sprzedam na pniu!

- Ty debilu! Przecież w Grecji nie ma Peweksów!

Facet nie odezwał się do końca zgrupowania.

W Moskwie nasz piękny sen przerwali Węgrzy, którzy ograli nas w półfinale 2:0. Na otarcie łez pokonaliśmy Irlandię 2:1 i zajęliśmy trzecie miejsce. Ale żadnej fety nie było – po naszym ostatnim meczu wszedł do szatni jakiś facet i powiedział, że przynosi medale. Postawił tacę i sobie poszedł. Widocznie ze względów politycznych organizatorzy uznali, że nie wypada, by Polacy świętowali na murawie miejsce na podium. Na finałowy mecz gospodarzy z Węgrami przyszło 70 tysięcy, co zrobiło na nas wielkie wrażenie. Gdy przy stanie 2:2 Madziar strzelał decydującego karnego, wszyscy ludzie na stadionie gwizdali. Gość wytrzymał presję i złoto odjechało Sowietom do Węgier. Trzy minuty po ostatnim gwizdku sędziego stadion był już pusty. Kibice Sbornej wracali do domu z poczuciem zawodu, a ja z przekonaniem, że moja kariera zaczyna nabierać rozpędu.

Kto wie, jak potoczyłyby się nasze losy, gdyby nie zabrano nam szansy przedstawienia się szerszemu audytorium. Jako trzecia drużyna Europy uzyskaliśmy automatyczny awans na mistrzostwa świata do lat 20. Wtedy jednak dał się nam we znaki PZPN. Działacze poskąpili 100 dolarów wpisowego, a gdy w końcu zdecydowali się nas zgłosić, było już za późno. Zamiast nas pojechali Bułgarzy. I tym razem to my mogliśmy płakać.

Tuż po powrocie z mistrzostw czekał mnie egzamin kończący szkołę zawodową, który dawał tytuł mechanika silników spalinowych. Przystępowałem do niego

„zielony”, ale wszyscy już wiedzieli, że jestem piłkarzem. Nauczyciele wychowania fizycznego mocno lobbowali, by nie stała mi się krzywda. Na egzaminie teoretycznym komisja zebrała się specjalnie dla mnie i dała mi pytania... razem z odpowiedziami. Część teoretyczna też okazała się farsą.

Zaprowadzono mnie przed ciągnik.

- Proszę powiedzieć, co to za część.

- Filtr powietrza.

- Nie, panie Kosecki. Filtr oleju.

Komisja wiedziała już, że dalej nie ma sensu brnąć. „Wie pan co? Zrobimy tak: pan ten ciągnik umyje na zaliczenie”. Lśnił czystością, więc nie było mowy, żeby mnie oblali.

Ursus, do którego trafiłem, miał dobrego sponsora - fabrykę ciągników - oraz jasny cel, jakim był awans do drugiej ligi. W moim pierwszym sezonie ta sztuka się nie udała. Kiedy wracaliśmy z ostatniego meczu sezonu w Lipnie, jeden z kolegów - jak się później okazało, na moje nieszczęście - znalazł w autokarze skrzynkę szampanów o wdzięcznej nazwie Pompadour. Myślałem, że wszystko kontroluję, ale nagle zapadła ciemność. Na domiar złego okazało się, że do siedziby Ursusa przyjechali jacyś działacze z Niemiec. Widok pijanego Koseckiego raczej by im się nie spodobał. Koledzy doradzili, bym schował się w pobliskich krzakach. Tak też zrobiłem, mimo że na pewno dogadałbym się z Niemcami. Po Pompadourze

byłem przekonany, że płynnie mówię w tym języku. Na tym sprawa się nie zakończyła, bo następnego dnia prezes zaprosił mnie do gabinetu:

- Czego się napijesz, Romeczku? Kawki, herbatki? A może szampana polać? - szydził Marek Pietruszka. A koledzy z szatni jeszcze przez jakiś czas nazywali mnie „Pompadour”. Wymyślili mi też ksywkę „Tahamata”. Według nich miałem przypominać tego holenderskiego skrzydłowego. Tak samo jak ja był niski i szybki, ale w odróżnieniu od niego nie mam indonezyjskich korzeni. Chyba że o czymś nie wiem.

Całe szczęście z rywalami na boisku radziłem sobie dużo lepiej niż z Pompadourem. Byłem niesamowicie pewny siebie. Przed meczem z Lechią Gdańsk ubzdurałem sobie, że wyjdę na boisko w białych trampkokorach. Od razu dostrzegłem na sobie spojrzenia lechistów, którzy ewidentnie pomyśleli, że jakiś dziwoląg zabłądził przypadkiem na boisko. Zwyczajnie mnie wyśmiali, ale tak się jakoś złożyło, że wygraliśmy 1:0 po moim gołu. Po meczu zawiesiłem sobie trampkokorki na ramionach i powiedziałem tak, by mnie usłyszeli:

- Następnym razem opierdolę ich na bosaka!

Kilku zawodników Lechii od razu się zagrzało i ruszyło do bitki, ale skończyło się tylko na wyzwiskach.

Byłem przekonany, że mogę wałnąć na bosaka całą ligę. Jak to zwykle bywa w takich przypadkach, życie szybko sprowadziło mnie na ziemię. Podczas jednego

z meczów nagle poczułem potworny ból w kręgosłupie. Upadłem i nie mogłem się ruszyć. Zniesiono mnie z boiska, ale moje problemy tak naprawdę dopiero się zaczynały. Dolegliwość nie mijała, a gdy zobaczyłem w moczu krew, zdałem sobie sprawę, że sytuacja jest naprawdę poważna. Mijały tygodnie, lecz nikt nie potrafił powiedzieć, co mi dolega. Leżałem w szpitalu przy Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, a później trafiłem do Warszawy na Szaserów. Stało się tak głównie dzięki pomocy doktora Stanisława Machowskiego i Legii, która już wtedy się mną interesowała. Wykonano mi szereg badań, ale ciągle nie widać było rozwiązania, więc jak tonący zacząłem chwycać się brzytwy. Najpierw wymyśliłem, że pójdę do wróżki. Wszedłem przez jakąś zasłonkę i zobaczyłem kobietę przypominającą czarownicę. Brakowało jej tylko kruka na ramieniu. Wywróżyła mi, że kiedyś na pewno wyzdrowieję. „No, dziękuję bardzo, tyle to wiem bez wróżki”.

Musiałem szukać czegoś innego. Z pomocą przyszli działacze Ursusa: Piotr Jasiński i Paweł Rakowski. Stwierdzili, że musimy prędko wsiadać do samochodu, bo znaleźli cudotwórcę, który mnie wyleczy. Zawieźli mnie do Lipiec Reymontowskich, gdzie przyjmował słynny na całą Polskę znachor Jan Duda. Zajechaliśmy mercedesem do wiochy zabitej dechami i weszliśmy do jakiejś chaty. Niedługo później przyszedł mój wybawiciel – między uzdrawianiem pacjentów musiał przepalować krowy

i teraz wracał z pola. Gdy zobaczyłem 60-letniego potężnego faceta w gumiakach, który za chwilę ma robić coś z moim ciałem, pomyślałem: „To się nie ma prawa udać”. Z drugiej strony nasłuchiłem się historii o ludziach, którzy przyjeżdżali do niego na wózkach inwalidzkich, a wychodzili o własnych siłach. Pomyślałem, że zaryzykuję, bo i tak nie mam nic do stracenia. Duda posadził mnie na krześle, obejrzał zdjęcie rentgenowskie, owinął mnie bandażem i zaczął nastawiać mi plecy.

- Niech pan ćwiczy kręgosłup.
- Jak mam ćwiczyć, skoro mnie boli?
- Ojciec nasypie 20 kg piachu do worka, położy panu na brzuch, a pan niech głęboko oddycha.

Nie wiem, co dokładnie zrobił z moim kręgosłupem Duda. Może po prostu nagle uwierzyłem, że jednak mogę wyzdrowieć. Wykonywałem opisane przez znachora ćwiczenia i po jakimś czasie ból faktycznie ustąpił. Nie pytajcie mnie, jak to możliwe, do dziś nie mam zielonego pojęcia.

Po półrocznej przerwie mogłem wrócić na boisko, ale musiałem zadać sobie pytanie: co dalej? W moim drugim roku awansowaliśmy, jednak przygoda Ursusa z zapleczem ekstraklasy nie potrwała długo. Po sezonie spadliśmy do trzeciej ligi.

Wymyśliłem więc sobie, że zostanę piłkarzem Widzewa. Wsiadłem do pociągu i pojechałem do Łodzi, żeby zapukać do gabinetu twórcy potęgi tego klubu, Ludwika

Sobolewskiego. Dostałem cynk, że mnie chcą, ale podczas rozmowy usłyszałem, że jeszcze muszę się ogrzać i że za wcześnie na Widzew.

Nie miałem do Sobolewskiego żalu, rozumiałem go. Wróciłem do Warszawy z niczym, ale wiedziałem już, że chcę zmienić otoczenie. Gdy więc w 1987 roku zgłosiła się po mnie drugoligowa Gwardia Warszawa, nie wahałem się ani chwili.

Tam po raz pierwszy przekonałem się, co tak naprawdę znaczy twarda ręka trenera. Zespół prowadził Henryk Szczepański nazywany przez szatnię „Burzą”. Szkoleniowiec kierował się głównie dwiema zasadami:

1. Piłkarz nigdy nie ma kontuzji.
2. Jak mówi, że ma, to przesadza albo kłamie.

Pamiętam, jak jeden z zawodników zgłosił mu kiedyś uraz.

- Trenerze, strasznie boli mnie noga, nie dam rady grać.

- Co ty pieprzysz?! Wyleczymy cię. Bezpośrednio przed snem nałóż sobie na nogę smalec z gęsi i daj na to gazę z denaturatem.

Facet rano wstał, zobaczył czerwoną plamę i pomyślał, że zaraz mu ta noga odpadnie. A „Burza” oczywiście wystawił go od pierwszej minuty. Gość ani słowem nie zająknął się o kontuzji.

Oglądaliście film „Być jak Kazimierz Deyna”? Na początku jest tam scena, w której trener woła do siebie

młodych piłkarzy i tłumaczy im krótko swoją filozofię: „U mnie się zapierdala. Kto nie zapierdala, ten nie gra”. U Szczepańskiego wyglądało to podobnie. Lubił powtarzać młodym zawodnikom: „Albo będziesz piłkarzem, albo maminsynkiem”.

Obowiązkowym punktem przygotowania do rozgrywek był zimowy obóz w górach, na którym non stop zapieprzaliśmy. Pewnego dnia trening kondycyjny polegał na tym, że wbiegaliśmy na bardzo wysokie wzniesienie. „Burza” był na górze, a jego ówczesny asystent Mirosław Jabłoński mierzył na dole tętno zawodnikom. Jeden z nich, ledwo żywy, wyraźnie miał dość. Jabłoński przyłożył palec do szyi delikwenta i wyszło, że facet ma tętno w okolicach dwustu. Dał znać „Burzy”, że piłkarz musi na razie spasować. A pierwszy trener:

– E, daj spokój. Nic mu nie jest. Niech zapieprza na górę! Stoi i oddycha, więc może biec.

Treningi u „Burzy” były takie, że niektórzy mieli dość nawet zbiegania z góry. Wymyśliliśmy, że będziemy zjeżdżać na dupach, ale jeden kolega nadział się na wystający spod śniegu kołek. Porysował sobie tyłek i od tamtej pory już zawsze zbiegał.

Nigdy nie zapomnę też, jak któregoś dnia obozu poszliśmy na stołówkę, żeby zjeść obiad. Chłopaki w minutę opróżniły talerze z ogórkową, po czym od razu poprosili kucharkę o dokładkę. Zanim włożyłem łyżkę do zupy, oni atakowali już drugą porcję. I trzecią. Czwartą...

- Spróbuj, Romek, świetna ta zupa.

No to spróbowałem i do dziś nie wiem, czy to była ogórkowa z dodatkiem wódki, czy wódka z dodatkiem ogórkowej.

- Chłopaki, przecież można było normalnie w pokojach rozlać...

- No co ty, najpierw obiad trzeba zjeść.

Dla zainteresowanych podaję przepis na ogórkową, która tak posmakowała kolegom. Składniki: sześć ogórków kiszonych, jedna marchewka, 300 g ziemniaków, litr wódki. Sposób przygotowania: ugotować ogórkową i dolać wódki.

Drużyna rozumiała się świetnie poza boiskiem, ale - co najważniejsze - także podczas meczów. Pierwszą rundę zakończyłem co prawda z jedną zdobytą bramką, jednak w swoim drugim sezonie trafiłem do siatki 11 razy, pomagając zespołowi w utrzymaniu się. Witold Kompa czy Robert Chelstowski, z którymi się trzymałem, dogrywali mi znakomite piłki na skrzydło. W tamtym okresie mało który obrońca drugiej ligi mógł mnie zatrzymać. Puszczając sobie piłkę na kilka metrów. Czasem wybiegałem nawet na bieżnię, która otaczała murawę, a i tak wyprzedzałem przeciwników. Czułem, że jestem w gazie. Obronę trzymał nam Janusz Klimczewski, pseudonim Mesel. Facet przez całe życie stosował na boisku zasadę: piłka może przejść, ale zawodnik nie. Gdy urodziło mu się dziecko i zorganizował u siebie pępkowe, trochę popłynęliśmy.

Ojciec Janusza, na co dzień członek Kapeli Czerniakowskiej, przyszedł do domu, jak impreza już się skończyła.

- Wróciłem z ulicy, a tu nie ma dla kogo grać, bo wszyscy leżą!

Jak już jesteśmy przy tej imprezie, najwyższa pora, żebym przeprosił Janusza za stół. Zanim pospadaliśmy z krzeseł, zaczęliśmy ostro dyskutować. Nie pamiętam już nawet, na jaki temat. W każdym razie chciałem uspokoić atmosferę. Wziąłem z kuchni nóż, wbilem w środek stołu i krzyknąłem: Cisza! Janusz zbladł.

- Pojebało cię, Kosa? Żona mnie zabije. Dobrze, że jest jeszcze w szpitalu po porodzie.

Cóż, może trochę mnie poniosło, ale faktycznie zrobiło się wtedy cicho.

Były oczywiście rzeczy, które nie funkcjonowały w Gwardii, jak powinny. Jeden z problemów stanowiła niska frekwencja na stadionie. Raz się zdziwiłem, bo przyszła większa grupa, tak samo ubrana i w dodatku w otoczeniu milicjantów. Strzeliłem gola i podbiegłem do nich, żeby razem się cieszyć, ale szybko się zorientowałem, że nie dzielą mojej radości. Okazało się, że to grupa więźniów z zakładu karnego, która przyszła na mecz w ramach resocjalizacji.

Czasem na stadionach widzi się transparenty: „Pozdrowienia do więzienia!”. Na obiekcie Gwardii nie trzeba było ich wieszać – więzienie przychodziło do nas. Na jednym meczu wśród kibiców-skazańców znalazł się facet,

który pochodził z miejscowości naszych rywali. Gdy straciliśmy gola, wyskoczył do góry z radości i od razu został spalowany przez milicjantów.

Jeśli pod jakimś względem nie pasowałem do Gwardii, to chyba tylko... ideologicznym. Był to przecież klub Milicji Obywatelskiej, a jako młody chłopak sympatyzowałem z Solidarnością i specjalnie się z tym nie kryłem. Kiedy zainteresowała się mną reprezentacja, przyjechała do klubu telewizja, żeby zrobić ze mną wywiad. Powiedziałem, że wspieram Lecha Wałęsę i że chcę pokoju na ziemi, a nie bomb atomowych. Na drugi dzień byłem już na dywaniku w pokoju prezesa klubu.

- Jakie bomby atomowe?! Jaki Wałęsa?! Popieprzyło cię, Romek? - grzmiał.

Chcieli mnie postawić do pionu i zrobiło się ostro. Kazano mi nawet ściąć włosy. Ostrzegłem prezesa, że jak to zrobię, przestanę grać.

W kłapie ubrania nosiłem opornik, który był symbolem buntu przeciwko władzy, więc miałem też problemy z milicjantami. Wiele razy mnie zatrzymywali, ale nigdy nie pękałem. Zawsze kończyło się tylko na spisywaniu. Raz wyciągnęli mnie z autobusu w Wilanowie.

- Kolego, ściągaj to natychmiast albo będziesz miał problemy.

- Będę nosić, co mi się podoba.

Milicjant spojrział w dokumenty i zorientował się, że jestem piłkarzem Gwardii Warszawa.

- Dlaczego nie mówiłeś, że grasz w resortowym klubie?

- To moja sprawa, gdzie gram.

Jechałem akurat na próbę, bo mieliśmy z kumplami kapelę. Najpierw występowaliśmy pod nazwą Cywilizacja, później przechrzciliśmy ją na Dyskotekę. Raz graliśmy w szpitalu dla dzieci w Konstancinie i w pewnym momencie zaczęliśmy rozrzucać ulotki Solidarności. Od razu podjechała nyska, z której wysiedli milicjanci. Chcieli zarekwirować cały sprzęt, ale wstawiła się za nami dyrektorka szpitala. Ostatecznie zatrzymaliśmy gitary, jednak władza wyłączyła prąd i o dokończeniu koncertu nie było mowy.

Kibice mogą się tylko cieszyć, że nie słyszeli, jak śpiewam. Graliśmy reggae i punk rocka. Moje marzenia o zostaniu drugim Bobem Marleyem legły w gruzach na przeglądzie piosenki w klubie Remont - basista zapomniał nastroić gitarę i zaprezentowaliśmy się tragicznie. Dno i metr mułu. Mimo to chętnie wracam myślami do tamtych wydarzeń. Jako część muzycznego podziemia czułem się wolny. Słuchałem, jak koledzy śpiewają o trudnej rzeczywistości, ustroju, polityce... Poznałem fantastycznych ludzi - Roberta Brylewskiego, Darka Malejonka czy Tomka Lipińskiego. No i przede wszystkim swoją żonę.

Przyszła z koleżanką na próbę zespołu w remizie i już została w moim życiu. Na pierwszą randkę mieliśmy iść do kina Beata w Konstancinie, gdzie grali „Wielką podróż

Bolka i Lolka”. Jadzia wystawiła mnie do wiatru. Myślałem przez moment, że nic z tego nie będzie, ale wytłumaczyła swoją nieobecność i zaczęliśmy się spotykać. Nie wiedziała wtedy, że wcale nie zobaczyłem jej pierwszy raz w remizie przed naszą próbą, tylko rok wcześniej. Dojrzałem ją w autobusie w towarzystwie koleżanek i od razu pomyślałem: „Ta dziewczyna kiedyś będzie moja”. Dziś jesteśmy już 32 lata po ślubie. Niezły wynik, nie?

Jadzia przychodziła nie tylko na koncerty, ale także na stadion. W sezonie 1987/88 wszyscy wiedzieli już, że wkrótce odejdę z Gwardii. Czułem, że najwyższa pora iść wyżej, a klub miał problemy finansowe i musiał sprzedać najlepszych piłkarzy. Zgłosił się po mnie legendarny prezes GKS-u Katowice, Marian Dziurawicz, więc wsiedliśmy z Jadzią do pociągu i ruszyliśmy na Górny Śląsk. Najpierw pojechaliśmy zobaczyć mieszkanie. Nowiutkie osiedle, cztery pokoje na drugim piętrze. Pomyślałem, że jest świetne, ale wtedy spojrzałem przez okno i zobaczyłem las... kominów fabrycznych oraz kłęby dymu. Od razu wyłożyłem kawę na ławę.

- Mieszkanie niby ładne, ale widok nie najlepszy.
- Jak chcesz, to jutro posadzimy tu las i drzewa zasłonią kominy. Nie ma problemu.

Dziurawicz słynał z tego, że w razie słabej gry zawodników wpadał w szał. Gdy jednak wszystko szło po jego myśli, potrafił przychylić im nieba. Zwłaszcza tym, których chciał przekonać do gry w swoim klubie. A że

miał wielkie wpływy, budował wtedy naprawdę mocną ekipę – gdy ja zwiedzałem mieszkanie, w hotelu na podpisanie kontraktu czekał już Andrzej Rudy. Czułem jednak, że to nie to. Grzecznie podziękowałem za rozmowę i odrzuciłem ofertę GKS-u. Byłem też w Poznaniu, bo chciała mnie Olimpia, ale tamtejsi działacze również mnie nie przekonali.

Na szczęście zgłosiła się po mnie Legia Warszawa, która zdała sobie sprawę, że ktoś zaraz może im sprzątnąć Koseckiego sprzed nosa. Ówczesny kierownik Kazimierz Orłowski i członek sztabu szkoleniowego Paweł Janas przyjechali do mojego domu, żeby porozmawiać z rodzicami. Mnie nie trzeba było przekonywać. Zawsze chciałem grać na Łazienkowskiej, a poza tym wiedziałem, że trener Andrzej Strelau bardzo naciska na transfer. Orłowski opowiadał mi, że z perspektywy Legii wyglądało to następująco: kierownik pojechał z Jerzym Engelem na mecz, żeby obserwować jakiegoś stopera.

Engel: – No i jak ci się, Kaziu, podoba ten obrońca?

Orłowski: – Daj spokój, przecież to jest drugi Jacek Gmoch – wjechać się w rywala i nic więcej. Jedyńm zawodnikiem, który nadaje się tu do Legii, jest Kosecki.

Później Orłowski podobno mocno namawiał prezesa CWKS-u, generała Wojciecha Barańskiego, żeby mnie ściągnął.

– Panie generale, a co z tym Kosą będzie?

KOSA. NICZEGO NIE ŻAŁUJĘ

- No przecież podobno jest kontuzjowany. Ma jakieś problemy z kręgosłupem.

- Gra w kadrze i jedną nogą jest w GKS-ie Katowice. To co, kalekę biorą do reprezentacji? Ktoś chyba z pana wała robi.

- A pasowałby pana zdaniem do Legii?

- Jak Kosecki tu nie pasuje, to kto?

- No dobra, uruchomię sprawę.

Do dziś mam kontrakt, który wtedy podpisałem - dwie strony maszynopisu. Zaproponowano mi nieźle pieniądze, poloneza, lodówkę i meble na talon oraz mieszkanie na Targówku, na ulicy Mokrej. Byłem w pionie gwardyjskim, więc musiałem napisać pismo do generała Kiszczaka o zgodę na przeniesienie do wojska. Kiedy wszystko było już dogadane, przypomniałem sobie, jak po treningach Gwardii wsiadałem w autobus, przyjeżdżałem na Łazienkowską i oglądałem zza płotu zajęcia Legii. Teraz wreszcie miałem być po drugiej stronie.

ROZDZIAŁ 2

ULUBIENIEC ŻYLETY

Wybaczcie, że zacznę ten rozdział od truizmu – w Legii zawsze gra się o mistrzostwo. Pod koniec lat 80. myślałem o tytule tym intensywniej, że trafiłem do szatni pełnej wielkich piłkarzy. Liderami zespołu byli Darek Dziekanowski i Staszek Terlecki, najlepsi technicy biegający po polskich boiskach. Na trening potrzebowaliśmy trzech piłek: jedna dla zespołu plus po jednej dla Staszka i Darka, bo jak zaczynali holować, nie było szans, że komuś podadzą.

Terlecki chyba nie do końca odnajdował się w grupie i zawsze musiał postawić na swoim. Trudno się z nim współpracowało, ale jeśli chodzi o umiejętności piłkarskie, był niesamowity, podobnie zresztą jak „Dziekan”. Kiedy stawiałem na Łazienkowskiej pierwsze kroki, Darek wziął mnie pod swoje skrzydła. Żałuję, że grałem z nim w Legii jedynie pół roku. Byliśmy ulubieńcami Żylety, która intonowała na meczach: „Śpiewają miasta, śpiewają wioski,

najlepszy piłkarz to Dziekanowski. A zaraz za nim Roman Kosecki, który dla Legii strzela brameczki”. Wiele pisało się o pozaboiskowym życiu Darka, ale, mówiąc zupełnie szczerze, miałem to gdzieś. Dla mnie to był pan piłkarz przerastający całą ligę. Gdy przejąłem koszulkę z dychą, czułem dumę, myśląc, że grali z nią tacy piłkarze jak Dziekanowski, a wcześniej Kazimierz Deyna, któremu mogłem co najwyżej czyścić buty.

Bramki najczęściej strzegł Maciek Szczęsny. Tak jak ja, przyszedł z Gwardii Warszawa. Człowiek guma, na treningach wyprawiał cuda i dziwił się, czemu nie skończył w czołowym klubie jednej z najsilniejszych lig. Jestem pewien, że gdyby tak się stało, dziś kibice wymienialiby go w gronie najlepszych bramkarzy lat 90. na świecie. Trzymał się trochę z boku i chodził własnymi ścieżkami, może dlatego, że miał nietypowe jak na piłkarza zainteresowania – fotografię czy jazz. Był w szatni lubiany i dogadywał się z resztą. Słyszałem historię, jak po moim odejściu Legia grała z Widzewem, a że kilku piłkarzy złapało kontuzje, Wojskowi wystąpili w mocno osłabionym składzie. W szatni Szczęsny rzucił ponoć do naszego pomocnika Jacka Sobczaka:

– Jak strzelisz gola, to wiozę cię samochodem z Warszawy do twojego rodzinnego Wałbrzycha.

Oczywiście – jak to w życiu bywa – Sobczak wpisał się na listę strzelców, więc Szczęsny wsadził go do samochodu i pojechali.

Czasem Maćkowi lekko dogryzałem, bo na każdym kroku starał się pokazać, jaki to jest elokwentny. Używał mądrych słówek i chyba chciał udowodnić innym, że ma trochę wyższe IQ niż reszta zespołu. Gdy za bardzo pozował na inteligenta, mówiłem mu: „Maciuś, idź najpierw między słupki, wytaplaj się w błocie przed bramką i potem pogadamy”. Wzajemnie sobie dogryzaliśmy, ale – tak mi się wydaje – lubiliśmy się. Co ciekawe, Maciek, mimo ogromnych umiejętności, nie mógł być pewny miejsca w podstawowym składzie, bo Zbyszek Robakiewicz też dawał sobie radę. Szczęsny miał trochę większy talent i lepsze warunki, ale Robak nadrabiał pracowitością. Cała szatnia wiedziała, że za sobą nie przepadają.

Wielką postacią tamtej drużyny był też mały generał, Leszek Pisz. W 1986 roku Legia potrzebowała nowego rozgrywającego i padło właśnie na Leszka, który występował w Igloopolu. Kierownik Orłowski pojechał do Dębicy, żeby przyklepać transfer. Jak już dotarł do klubu, szybko odnalazł piłkarza.

– Przepraszam, chciałem z Leszkiem Piszem porozmawiać.

– No to stoi przed panem.

– Nie, nie, ja chciałem z Piszem, tym rozgrywającym.

Orłowski nie mógł uwierzyć. Przyjechał po zawodnika, który rzekomo wygrywa mecze w pojedynkę, a zobaczył kurdupla, więc trochę się przeraził. Mimo to doszło do transferu i wkrótce Pisz po raz kolejny całkowicie

zaskoczył kierownika. Orłowski usłyszał od jednego z piłkarzy:

- Kiero, ależ on wolne bije! Niesamowity facet!

- Co ty sobie jaja ze mnie robisz?! Przecież to krasnoludek jest.

Orłowski nie wytrzymał. Wziął jednego z bramkarzy i Pisz na boczne boisko i kazał mu wykonywać rzuty wolne, wieszając ścierkę w „okienku” bramki. Co strzał, to bach! Trafiona! Kierownik przyniósł więc drewniany mur do ćwiczenia rzutów wolnych, żeby utrudnić zawodnikowi zadanie, ale znowu było to samo! Bach! Bach! Bach! Wszystko w sieci. Orłowski – jak święty Tomasz – zobaczył i uwierzył, więc polecił do Engela, żeby dawać Piszowi każdy rzut wolny.

- Co ty sobie, Kaziu, jaja ze mnie robisz? Przecież to krasnoludek jest.

Koniec końców Engel zorganizował trening strzelecki, po którym nikt nie miał już wątpliwości, że Pisz to największy ekspert od wolnych w całej lidze. Czasem przed stałym fragmentem zagajałem, że może ja tym razem spróbuję, ale Pisz mówił: „Spróbujesz po meczu, Romek”. Miał niesamowitą technikę i potrafił zagrać piłkę na nos. Słyszałem, że już po moim odejściu Krzysiek Ratajczyk zawsze go pytał, gdzie będzie centrował, a Pisz odpowiadał: „Ty się nie bój, wbiegaj, a ja cię trafię w głowę!”. I tak się później działo. Na treningu od razu było wiadomo, która piłka jest Pisz. Normalnie skórzany kamień.

Reszta drużyny pewnie nie dokopałaby do bramki z połowy, a Leszek walił przerzut przez całe boisko. Niesamowite, bo chyba jako jedyny miał w szatni mniejszą stopę ode mnie (noszę rozmiar 39) i buty musieliśmy kupować w dziecięcym.

Na bokach obrony mieliśmy dwa pociągi pospieszne – Darka Wdowczyka i Darka Kubickiego. Ten drugi był Davidem Beckhamem naszych czasów. Zawsze w garniturku pod krawatem i w wypolerowanych butach. Po treningu jeszcze nie zdążyliśmy wejść do szatni, a Kubicki już wychodził pachnący spod prysznica i odjeżdżał swoim polonezem, żeby kupić nowe perfumy.

Za elegancika uchodził też grający w drugiej linii Jacek Bąk. Przystojny brunet. Gdy biegł z piłką, z trybun było słychać pisk dziewczyn. Kochały go. Śmialiśmy się, że jest zbyt ładny, żeby siedzieć w szatni z innymi facetami, więc rusza na miasto. Towarzyski gość. Pamiętam jeden trening, który odbywał się późną jesienią. Na ulicy pojawił się już pierwszy śnieg. Wybiegliśmy na boisko w dresach ortalionowych, patrzymy, a chwilę później pojawia się Jacek ubrany w krótkie spodenki i koszulkę. Trochę z niego poszydziliśmy. „Jacuś, chyba ci się pory roku pomyliły!”. Drużyna go ceniła, bo miał stalowe płuca. Podczas meczu praktycznie się nie zatrzymywał i nawet gdy zespół trenował po wieczornym biesiadowaniu, pod względem fizycznym Jacek prezentował się fantastycznie. Był też w optymalnej dyspozycji zaraz po wygranym

przez nas finale Pucharu Polski z Jagiellonią – zaczęliśmy we dwójkę świętować, a że mieliśmy sporo wody przez o z kreską, impreza skończyła się jakoś po tygodniu. Pływaliśmy z Jacusiem rowerami wodnymi, kreśląc przepiękne zygzaki.

Największym żartownisiem w szatni był Marek Jóźwiak. Do dziś pamiętam, jak wysmarował mi majtki maścią rozgrzewającą. A że stosowanie związku chemicznego może przynosić niepożądane skutki, później przez godzinę siedziałem pod prysznicem i nie powiem, gdzie trzymałem słuchawkę. Nie ma chyba żadnego piłkarza Legii z tamtych lat, który choć raz nie byłby ofiarą „Bereta”. O jego pomysłach przez lata krążyły przeróżne anegdoty. Jedną z historii usłyszałem od doktora Machowskiego. W roli głównej oczywiście Marek Jóźwiak. Role drugoplanowe: Zbyszek Mandziejewicz i Leszek Pisz. Ofiara: Krzysztof Ratajczyk. Otóż podobno „Rataj” przyszedł do szatni w nowych butach, tzw. kowbojkach. Reszta chłopaków go zobaczyła i zaczęła się jazda, a jako pierwszy pocisk wypuścił Leszek Pisz:

- Krzysiu, co ty masz na nogach?
- No jak to co? Buty normalne.
- A gdzie bat zostawiłeś, kowboju?

Wtórował mu Zbyszek Mandziejewicz: „Co ty, John Wayne jesteś?”. W końcu wszyscy wyszli na trening, a w szatni został tylko Marek Jóźwiak. „Beret” wziął but Ratajczyka, przybił go młotkiem do stołu i zagiął gwóźdź

od spodu. Wiedział jednak, że Krzysiek będzie chciał się zemścić, więc przełożył swoje skarpetki do butów Igora Koziola, a Koziola do swoich. Po treningu przychodzi cała banda, patrzy na but Krzyśka przybity do stołu i pokłada się ze śmiechu. Tymczasem Krzysiek bez słowa idzie do rehabilitanta i mówi: „Panie Zbyszku, pan mi da nożyczki”. Wraca i krzyczy:

– Beret, to jest twoja robota!

Bierze skarpetki z butów Józwiaka i tnie na strzępy. A „Beret” siedzi i się śmieje:

– Koziółek, popatrz, Rataj ci pociął skarpety!

Wtedy „Ratajowi” aż ponoć gule wyszły ze zdenerwowania! Jak ochłonał, pożyczył z magazynu piłkę do metalu i uciął gwóźdź, żeby odzyskać swój kowbojski but.

Każdy musiał mieć się na baczności, bo nie znałeś dnia ani godziny, a Marek tylko czekał na okazję. W szatni obowiązywała zasada: jak idziesz się załatwić, nie zamykasz drzwi. „Dziekan” kiedyś o tym zapomniał, a „Beret” nie wybaczał takich rzeczy. Momentalnie złapał miskę, nalał do niej wody i oblał Darka, który siedział na desce klozetowej w garniturze. Od tamtej pory „Dziekan” już pamiętał, że w Legii drzwi do WC się nie zamyka.

Innego dnia Józwiak przybił komuś klapki do podłogi i facet runął jak długi przy pierwszym kroku. Zaznaczam, że „Beret” uwielbiał żartować z innych, ale miał też duży dystans do siebie. Raz na treningu pomalował sobie korki złotym sprayem, chodził i mówił wszystkim:

- Patrzcie, Złote Buty dostałem, nareszcie mnie docenili.

Rzecz jasna, jak to bywa w piłkarskiej szatni, czasem najwięksi żartownisie stają się ofiarami. Najlepszy numer koledzy wycięli właśnie „Beretowi”. To zresztą przy Łazienkowskiej słynna anegdota. Partnerka Marka była wtedy w ciąży i pewnego dnia dostał telegram. Leciąco to mniej więcej tak: „Marek! STOP! Przyjeżdżaj do szpitala! STOP! Urodziła!”. Całe zdarzenie miało miejsce na jakimś wyjeździe, więc Józwiak od razu poleciał do trenera, który pozwolił mu na powrót do domu. „Beret” kupił kwiaty i czekoladki, po czym zapukał do teściów, gdzie mieszkała wówczas wybranka.

- Gdzie ona jest?

- Jak to gdzie? W pokoju.

- No przecież rodzi.

- A gdzie tam...

Gdy wkurzony Marek wrócił do drużyny, Pisz i „Mandziej” od razu wzięli go w obroty.

- Syn czy córka?

- Spieprzaj, Leszek!

- A mówi już coś?

Reszta chłopaków tarzała się ze śmiechu. Marek zdecydowanie dawał radę na boisku, ale też cementował szatnię poza nim.

Podobnie jak Darek Czykier, z którym miałem świetny kontakt. Cały czas biegał skrzywiony, ale kiedy już się

rozpędził, nikt nie był w stanie go dogonić. Rywale nie mogli go rozszyfrować i myślę, że tak naprawdę Darek też nie potrafił rozczytać samego siebie. Śmialiśmy się z jego chudych nóg i dokuczaliśmy mu, że ma żabie udka. Gdy kładł się na stole, masażysta pytał: „Po coś przyszedł? Kości się przecież nie masuje”.

Już przed transferem na Łazienkowską wiadomo było, że Darek będzie silnym punktem tzw. grupy Lambada, która lubiła się pobawić. Jeszcze w Jagiellonii Białystok zdyskwalifikowano go na pół roku za prowadzenie niesportowego trybu życia. Czykier wiedział, że chce go Legia, więc zgłosił się do armii. PZPN zawiesił mu później karę, Darek zaczął z nami trenować, a kluby dogadały się co do transferu. Wszystko szło bardzo gładko. Zbyt gładko... Niebawem Czykier sam sobie wszystko skomplikował. Cztery dni przed oficjalnym dołączeniem do Legii dachował polonezem, a badanie wykazało, że ma 2,56 promila alkoholu we krwi. Zamiast na boisko trafił do wojskowej paki. Innym razem nie dostał przepustki na weekend, więc przekupił wartowników. Tyle że gdy wracał, zapomniał, że ma wejść przez płot. I też wsadzili go do aresztu.

Do Czykiera przyłgnęła łatka imprezowicza, ale nic sobie z tego nie robił. W rozmowie z „Przeglądem Sportowym” skwitował to w swoim stylu: – Irytowało mnie, że ciągle wołano za mną, ile promili miałem we krwi. Wypominano mi, że było to 2,54, a ja przecież miałem o dwie

setne więcej... Darek chodził swoimi ścieżkami. Kiedy wpadaliśmy na piwko do pubu przy Agrykoli, naprzeciwko kortów tenisowych, zazwyczaj kończyło się na jednym, a Czykier coraz częściej zostawał przy barze. Nikt nie sądził, że problem stanie się aż tak poważny. Żał mi, że nadal musi walczyć z nałogiem i trzymam kciuki, żeby wyszedł na prostą. Gdy pokazują czasem w telewizji jego syna, który uprawia lekkoatletykę, widzę całego Darka. Tak jak jego tata przed laty jest fajnym, uśmiechniętym i bardzo utalentowanym chłopakiem.

W Legii najbardziej trzeba było uważać na to, żeby nie wejść do środka podczas gry w „dziadka”, bo Andrzej Łatka, Krzysiek Iwanicki czy Leszek Pisz tak wymieniali piłeczkę, że człowiek gonił za nią do usranej śmierci! Zresztą z Iwanickim bardzo często się przekomarzałem:

- Widziałeś, Kosa, jaką ci asystę dałem?

- Ta... asystę... Musiałem zapieprzać pod chorągiewkę, minąć czterech i dopiero strzelić.

- Ale to przy mnie się techniki nauczyłeś.

Mieliśmy naprawdę fajną ekipę. Lubilem przychodzić do roboty nie tylko dlatego, że kochałem grać w piłkę, ale też ze względu na ludzi, których codziennie spotykałem w szatni.

W moim pierwszym sezonie na Łazienkowskiej prowadził nas Andrzej Strejlau, profesjonalista w każdym calu i wielki pasjonat futbolu. Treningi miał rozpisane co do sekundy, co robiło na zespole wrażenie. Poza tym

obowiązywały u niego jasne zasady. Gdy wyjeżdżaliśmy na mecz, punktualnie o ustalonej godzinie Strejlau zamykał drzwi autobusu. Nawet jeśli ktoś spóźnił się tylko minutę, miał pecha – musiał jechać za autokarem swoją furą albo taksówką. Trener wzbudzał szacunek, podczas zajęć zawsze żył i podpowiadał. Był lubiany przez drużynę. Praktycznie nigdy nie wychodził z pracy, oddychał futbolem 24 godziny na dobę i mógł o nim rozmawiać bez końca.

Gdy członkowie sztabu gdzieś się spieszyli i nagle dostrzegali trenera na horyzoncie, od razu padało hasło: „Uciekamy! Andrzej idzie!”. Nie dlatego, że go nie lubili – wiedzieli po prostu, że rozmowa z trenerem o piłce to kilka godzin wyjęte z życia. Jestem pewien, że gdyby obudzić go w środku nocy i zapytać, jaki wynik padł w meczu o trzecie miejsce na mundialu w 1938 roku, odpowiedziałby bez zająknięcia.

Nie było sytuacji, w której Strejlau straciłby nad sobą panowanie. Raz dwójka zawodników poszła w tango i zjawiała się na treningu w nie najlepszym stanie. Gały czerwone jak przy zapaleniu spojówek, zionie od nich na kilometr. Kierownik Orłowski podchodzi do Strejlaua:

– Andrzej, oni walnięci są. Nie nadają się w ogóle do treningu.

– Wiesz co, Kazek, zabierz ich do doktora Machowskiego, bo coś pokaszują. Ja z nimi jeszcze porozmawiam.

Zamiast robić awanturę przy całej drużynie, Strejlau wolał załatwić to w ten sposób. Później powiedział

każdemu zawodnikowi w cztery oczy, co myśli o ich zachowaniu i ukarał delikwentów.

Podsumowując, mieliśmy świetnych piłkarzy i trenera z wysokiej półki. Rundę wiosenną w 1989 roku zaczęliśmy z wysokiego C, rozbijając Olimpię Poznań 3:0, a ja zaliczyłem wymarzony debiut przy Łazienkowskiej. Prawdę mówiąc, zeszło ze mnie wtedy ciśnienie. Kibice Legii to zupełnie inna półka niż fani pozostałych drużyn. Wspierają cię jak nikt, ale też wymagają. Jeśli jakiś ligowiec mówi wam, że nie czuje dodatkowych emocji przed meczem na Łazienkowskiej, zwyczajnie leci w kulki. Przed pierwszym gwizdkiem serce biło mi jak szalone, a tymczasem w niespełna pół godziny walnąłem dwie bramki, wprowadzając Żyłę w euforię.

Do końca sezonu było jeszcze mnóstwo kolejek, a strata do prowadzącego w tabeli Górnika Zabrze zmalała do trzech punktów. Szybko zostaliśmy jednak sprowadzeni na ziemię. W 20. kolejce pojechaliśmy do Wałbrzycha na mecz z ostatnim w tabeli Górnikiem i dostaliśmy w czapę 0:1. Mieliśmy sytuacje, jednak nie potrafiliśmy ich wykorzystać. Ja sam zmarnowałem jedną czy dwie patelnie. Zaraz po końcowym gwizdku Janek Karaś wpadł do szatni, dając do zrozumienia, co myśli o grze zespołu:

- Jesteście dzieci, a nie zawodnicy! Jakim prawem marzycie o wielkiej piłce?!

Strejlau nawet nie otworzył ust, bo doskonale rozumiał, że piłkarze muszą wyjaśnić pewne sprawy między

sobą. Zapadła cisza, po której kilku zawodników skoczyło sobie do gardeł i doszło do ostrej szarpaniny. Gdy emocje opadły, trener skrytykował drużynę na łamach „Przeglądu Sportowego”, stwierdzając, że „Legia to nadal zespół o minimalistycznych ambicjach”. Na pomeczowej odprawie też z nami pojechał. Na dzień dobry powiedział, że jego zdaniem niektórzy zawodnicy celowo odpuścili ten mecz. Często wysuwał podejrzenia pod adresem sędziów czy graczy, robiąc jakieś aluzje, albo – tak jak po spotkaniu z Górnikiem – waląc prosto z mostu. Choć wszyscy wiemy, że w latach 80. i 90. polską piłkę toczył rak korupcji, ja sam nigdy nie zetknąłem się z sytuacją, by któryś z moich kolegów z Legii przehandlował mecz.

Otrzymałem w karierze jedną propozycję korupcyjną. Kilka dni przed spotkaniem z Lechem w sezonie 1989/90 dostałem telefon od działacza z Poznania, który wprost sugerował, że Kolejorz chce kupić korzystny wynik. Odpowiedziałem mu, że chyba pomylił numery i odłożyłem słuchawkę. Później zastanawiałem się, czy jakiś inny piłkarz Legii odebrał podobny telefon. Lech przyjechał do Warszawy po remis i osiągnął cel. Nie mogę jednak powiedzieć, że ktoś specjalnie odpuścił, bo nie mam na to dowodów.

Choć porażka z czerwoną latarnią ligi zaboliała, moim zdaniem nie przegraliśmy tytułu w Wałbrzychu, a w Warszawie, sześć kolejek przed końcem ligi. Graliśmy u siebie z Ruchem, mieliśmy szansę na mistrza

i gdybyśmy wygrali ten mecz, finisz sezonu mógł ułożyć się zupełnie inaczej. Na Łazienkowskiej zasiadło 18 tysięcy ludzi, stawka meczu była bardzo duża. Tymczasem odsunięto od składu Darka Dziekanowskiego. Klub poinformował później w komunikacie, że za „nieusprawiedliwioną nieobecność na trzech kolejnych treningach CWKS Legia Warszawa ukarał Dariusza Dziekanowskiego najwyższą regulaminową karą pieniężną oraz odsunął go od udziału w meczach z Ruchem Chorzów i ŁKS-em Łódź”.

Mimo absencji Darka powinniśmy wygrać ten mecz. Już w pierwszym kwadransie przeprowadziłem piękną akcję. Uderzyłem z powietrza, ale piłka odbiła się od wewnętrznej części słupka i wyszła w pole. Skończyło się 0:0. Mistrzostwo zgarnął ostatecznie właśnie Ruch, a my zakończyliśmy rozgrywki na czwartym miejscu, co przyjęto rzecz jasna ze sporym rozczarowaniem.

Na pocieszenie został nam Puchar Polski. W finale rozmontowaliśmy z „Dziekanem” Jagiellonię Białystok, strzelając po dwa gole. Krzysiek Iwanicki dołożył jednego gola po mojej asyście i wygraliśmy 5:2. Tym samym wzięliśmy rewanż, bo w przerwie zimowej wpadliśmy do Białegostoku na sparing i Jaga pojechała z nami 4:0. Miałem długie włosy i gdy biegałem przy linii bocznej, miejscowi kibice naśladowali odgłosy Indian, naśmiewając się ze mnie. Tuż przed finałem, w tunelu prowadzącym na boisko, to raczej zawodnicy Jagi przypominali

bohaterów westernu. Z szatni wyszło jedenaście bladych twarzy. Chyba wiedzieli, że tym razem to oni zostaną załatwieni. Mieli rację.

Po sezonie 1988/89 nastąpiła zmiana na stanowisku trenera Legii, ponieważ Andrzej Strejlau dostał nominację na selekcjonera kadry. Na Łazienkowskiej zastąpił go Rudolf Kapera. Podobnie jak jego poprzednik Rudek miał świetny kontakt z drużyną. Był impulsywny i czasem chciał nas zrównać z ziemią, ale problem polegał na tym, że jego tyrady najczęściej wywoływały śmiech.

Wchodził wściekły Kapera do szatni i krzyczał:

- Ja pierdziut! Gówno! Kurna, wszystko do dupy!

Chowaliśmy twarze w dłoniach, a trener, widząc, co się dzieje, jeszcze bardziej się wkurzał i dokręcał śrubę na kolejnym treningu. Ale prawdziwą zmorą Rudka byli sędziowie. Miał na ich punkcie obsesję i gdy jakiś arbiter popełniał błędy na naszą niekorzyść, Kapera zaczynał swój show.

- Co za czarna wrona obesrana! Śmierdziel jeden! Nic, tylko bydlaka w mordę pałać!

A że trener uwielbiał chodzić w swetrze w słoniki i skórzanej kamizelce, przy tego typu scenach zawodnikom trudno było zachować powagę.

Słyszałem głosy, że byłem ulubieńcem Kapery, ale mam na ten temat swoją teorię: po prostu świetnie grałem w piłkę. Ktokolwiek prowadziłby Legię, byłbym u niego mocnym punktem, bo na to zasługiwałem.

Lepszego początku kadencji Kapery nie mogliśmy sobie wymarzyć. Na dzień dobry odprawiliśmy z kwitkiem Ruch Chorzów w meczu o Superpuchar Polski. W drużynie nie było już „Dziekana”, więc przejąłem od niego koszulkę z numerem 10 i poprowadziłem chłopaków do zwycięstwa 3:0. Zostałem wybrany najlepszym zawodnikiem spotkania, a prasa pisała, że jestem już piłkarzem światowego formatu. W meczu z Widzewem Łódź pilnowało mnie aż dwóch rywali, a że i tak nie mogli nadażyć, po prostu na mnie polowali. Gdy za któryms razem zostałem wycięty równo z trawą, jeden z kibiców krzyknął z rozpaczą: „Zabiją go!”. Spokojnie – mordować nikt Koseckiego nie chciał.

Były też oczywiście słabsze mecze, więc gdy w 1/16 finału Pucharu Zdobywców Pucharów trafiliśmy na Barcelonę, dziennikarze drżeli, że Katalończycy nas rozniosą i będzie wstyd na całą Europę. W szatni też nikt nie skakał pod sufit. Każdy miał w pamięci, że sezon wcześniej przyjechał do Warszawy Bayern i pojechał z Legią siódmką, a w dodatku Barça broniła trofeum. Tylko trener Kapera nie tracił optymizmu, mówiąc z pełnym przekonaniem, że nie ma się co bać, bo Barcelona gra piach. Ktoś mógłby pomyśleć, że pozostało nam się tylko modlić, żeby Duma Katalonii nas nie zmiażdżyła. Choć wcale nie czuliśmy strachu, faktycznie się modliliśmy, a nawet zabraliśmy do Hiszpanii... księdza. Znałem bardzo dobrze ojca Mariusza Zapolskiego i to ja wpadłem

na pomysł, że powinien znaleźć się na pokładzie samolotu do Barcelony. Oczywiście działaczom CWKS-u się to nie spodobało, ale miałem po swojej stronie Kapere oraz kolegów z szatni. Gdy pułkownik Zawadzki zaczął wykrzykiwać, żebyśmy nie robili komedii, nadział się na kontrę naszego trenera.

- To przede wszystkim psycholog, a nie ksiądz. Jeśli ma pan z tym problem, to ja też nigdzie nie lecę.

Do mnie również Zawadzki miał pretensje:

- Co ty, Kosecki, odwalasz z tym księdzem?

- Niech się pan zajmie swoimi sprawami. Zapolski z nami leci, drużyna go potrzebuje. Zresztą nie będę z panem w ogóle gadał na ten temat, bo szkoda czasu. Proszę się nie spóźnić na samolot!

Może zareagowałem za ostro, ale cieszyłem się na Łazienkowskiej dużym szacunkiem. Już wtedy kilka europejskich klubów pytało o Koseckiego, a jeśli masz na sprzedaż brylant, chronisz go, zamiast walić w niego młotkiem. W sytuacji z Zapolskim zagrałem va banque. Opłaciło się, postawiliśmy na swoim. Gdy Mariusz odprawił mszę w kaplicy na Camp Nou, Hiszpanie nie wiedzieli, co się dzieje - przylatuje drużyna z kraju, w którym jeszcze niedawno panował komunizm. Na dodatek wojskowi, a przywożą ze sobą księdza i modlą się na stadionie. Nie mieliśmy jednakowych klubowych dresów, więc wyglądaliśmy w tej kaplicy jak banda turystów, a nie profesjonalna drużyna. Piłkarze Barcelony na pewno myśleli, że

dwumecz będzie dla nich spacerkiem. Mariusz podczas kazania nawiązał do historii Dawida i Goliata, co do nas trafiło.

Bardzo poruszony słowami duchownego był trener Lucjan Brychczy, który miał łzy w oczach. Tymczasem Kapera prowadził psychologiczne gierki. Grzmiał do dziennikarzy, że w przedsezonowym meczu ze Sredecem Sofia uznano Barcelonie cztery nieprawidłowe bramki i że jest zbulwersowany postawą arbitra. Trener chyba trochę obawiał się „gospodarskiego” sędziowania.

W szatni mówiliśmy sobie: „Zapieprzamy od pierwszej do ostatniej minuty, niech się z nami męczą”. Nie mam pojęcia, czy to ksiądz Zapolski nas tak natchnął, ale zagraliśmy świetne spotkanie. Po losowaniu Kapera wysłał do Hiszpanii Pawła Janasa, żeby oglądał Barcelonę z trybun Camp Nou. „Janosik” pięknie się opalił. Co ważniejsze, przywiózł informacje, że Katalończyków można skontrolować, bo wychodzą bardzo wysoko. Ta taktyka się sprawdziła.

Przed przerwą prowadzenie dał nam Andrzej Łatka. Po prostopadłej piłce wykorzystał to, że Andoni Zubizarreta poszedł na grzyby, minął na spokoju hiszpańskiego bramkarza i z ponad trzydziestu metrów uderzył do pustej bramki. Później tworzyliśmy kolejne sytuacje. „Łata” znów stanął oko w oko z Zubizarretą, jednak tym razem Hiszpan był górą. Ja też napsułem obrońcom Blaugrany krwi. W drugiej połowie podwyższyłem na 2:0, ale sędzia

odgwiżdżał spalonego, którego nie było. Pięć minut przed końcem Barcelonę uratował Ronald Koeman, wykorzystując rzut karny. Gdy Kapera zjawiał się na konferencji prasowej w swoim sweterku w słoniki, dziennikarze powitali go brawami.

Mieliśmy co prawda świadomość, że mogliśmy wygrać na Camp Nou, ale przed pierwszym gwizdkiem bramkowsy remis bralibyśmy w ciemno. Na lotnisku w Warszawie czekali na nas kibice, którzy nagrodzili nas brawami i wręczyli drużynie kwiaty. Tylko Kapera był nie w sosie, narzekając, że Johan Cruyff nawet się z nim nie przywitał i nie pogratulował mu remisu.

Przed rewanżem każdy czuł, że naprawdę możemy walnąć utytułowaną Barcelonę. Bilety, które kosztowały dwa razy więcej niż na Bayern rok wcześniej, rozeszły się błyskawicznie. W obiegu znalazły się nawet podrobione wejściówki, a stadion na Łazienkowskiej był pełen ludzi już dwie godziny przed pierwszym gwizdkiem.

Kapera wymyślił bardzo prosty plan: od początku siadamy na nich i gramy otwartą piłkę. Znow mieliśmy sytuację, ale tym razem triumfował Cruyff, który przez cały mecz stał przy linii bocznej w swoim charakterystycznym płaszczu. Barça stworzyła dosłownie jedną okazję i ją wykorzystała – gol Michaela Laudrupa dał Katalończykom awans. Po meczu Cruyff powiedział dziennikarzom, że widziałby w składzie Barcelony takiego zawodnika jak Kosecki. To nie była czysta dyplomacja – już

wcześniej słyszałem, że zwrócił na mnie uwagę. Chodziła plotka, że chciał, by Barça zaoferowała za mnie osiem milionów dolarów. Nigdy nie usłyszałem jednak od działaczy Legii o oficjalnej ofercie z Camp Nou.

Pochwały od Holendra oczywiście sprawiły mi przyjemność, ale wracając ze stadionu i tak byłem w podłym nastroju po przegranej. Nie miałem pojęcia, że tego dnia czeka mnie jeszcze jedna niemiła niespodzianka. Wysiadając z windy, zauważyłem uchylone drzwi mieszkania. Łudziłem się jeszcze, że może to sąsiedzi, u których zostawiliśmy z żoną dzieci. Zapaliłem jednak światło i pozbyłem się złudzeń – mieszkanie wyglądało tak, jakby wybuchła w nim bomba. Totalny burdel, wszędzie porozrzucone rzeczy... W salonie na stole stała niedopita butelka wódki i trzy kieliszki.

Gdy złodzieje skończyli robotę, rozlali alkohol i zaczęli oglądać mecz Legii z Barceloną. Absurd. Przyjechali milicjanci i z miejsca zabrali się do tropienia sprawców, zaczynając od bardzo inteligentnych pytań:

- Nie wie pan, panie Kosecki, kto pana okradł?
- Wiem. Sędzia na Camp Nou, bo nie uznał mi prawidłowej bramki. Jak tak ma wyglądać wasze śledztwo, to lepiej od razu stąd wyjdźcie!

W czasie gry dla Legii miałem jeszcze jeden nieprzyjemny incydent. Gdy mieszkałem na Pradze, często chodziłem na bazar Różyckiego, żeby zjeść świetne flaczki albo pyzy z mięsem i wypożyczyć kasety VHS. Nieraz

patrzyłem z boku, jak miejscowe cwaniaczki ogrywają w karty postronnych ludzi, skubiąc ich na kasę. Mechanizm zawsze był ten sam: gdy „obcy” zaczynał wygrywać, cwaniaczki na hasło „bomba” wywracali wszystkie stoły i spieprzali, krzycząc na cały bazar, że jedzie milicja, choć oczywiście żadna nyska nie nadjeżdżała. Któregoś dnia karki zaczęły patrzeć na mnie spod byka i szybko zdałem sobie sprawę, że raczej nie jest to zaproszenie do gry w karty. Otoczyło mnie kilka osób:

- Koleżko, co tam masz w uchu?
- Kolczyk. Jakiś problem?
- Zdejmuj to gównu.
- Nie zamierzam.
- To ci pomożemy.

Z kilkoma naraz radziłem sobie na boisku, ale wiedziałem, że na bazarze to nie przejdzie i dostanę oklep. Kiedy już na mnie ruszali, ktoś rzucił jednak: „Zostawcie chłopaka, on gra w Legii”. Cwaniaczki nagle stwierdzili, że jestem spoko gości i jednak nie będą mnie bić. Miałem sporo szczęścia.

Niestety historia z obrobieniem mojego mieszkania nie kończy się happy endem. Sprawę szybko umorzono, a ja musiałem sprzedać poloneza i kupić sobie malucha, żeby wyjść na prostą. Całe szczęście, że mieliśmy z Jadzią pochowane dolary w mieszkaniu.

Jeśli zastanawiacie się, jakim cudem gwiazda ligi mogła po takiej akcji wpaść w kłopoty finansowe, pamiętajcie,

że to były zupełnie inne czasy. W latach 80. i pierwszej połowie lat 90. organizacyjnie mocno kulał prawie każdy klub, dotyczyło to także Legii. Broń Boże, nie była to wina działaczy, bardziej skutek sytuacji politycznej i tego, że znaleźliśmy się w erze transformacji.

Młodszy kibice mocno by się zdziwili, widząc, jak wyglądała kiedyś rzeczywistość w Legii. Czasem trenowaliśmy na Fortach Bema w błocie po kostki. W zimie ćwiczyliśmy w grubych zielonych spodniach i wojskowych dresach. Po sprzęt chodziło się do legendarnej magazyńki, pani Lucyny, z którą nie było dyskusji.

- Skąd ja ci, kurwa, spodenki wezmę?! Dobra, masz tutaj jedno. Jeszcze Kazek Deyna w nich grał, ale powinny być dobre.

Doktor Machowski, który przez lata opiekował się zawodnikami Legii, dwoił się i troił, bo dostawał pięć opakowań żelu Reparil na cały rok. Jeździł do kościoła po dary dla potrzebujących i brał od księdza preparaty lecznicze. Nie chcę, żebyście odebrali to w kategoriach narzekania. Nie znaliśmy świata, w którym piłkarze mają wszystko podstawione pod nos, więc gdy usłyszało się wiązanek od Lucyny, nikt się nie żalił. Wiedzieliśmy, że trzeba zacisnąć zęby i zapieprzać.

Potrafililiśmy przeciwstawić się Barcelonie, a w lidze szło nam jak po grudzie. Mieliśmy za wąską kadrę. Ktoś złapał kartkę, inny wyleciał z powodu kontuzji i od razu robił się problem. Cały czas brakowało kropki nad i, co

rodziło sporą frustrację. Atmosfera w klubie bardzo się popsuła. Po treningu każdy od razu wsiadał do samochodu i wracał do domu, w szatni porobiły się grupki. Kibice i dziennikarze jechali z nami coraz mocniej. Cztery dni po rewanżowym meczu z Barceloną ograliśmy 1:0 Zawiszę Bydgoszcz, ale nikt nie skakał pod sufit.

Przytaczam fragment relacji z meczu z „Przeglądu Sportowego”: „Dziady, dziady! Gdzie jest prawdziwa Legia? – takimi okrzykami kibice żegnali piłkarzy stołecznej jedenastki po ich niedzielnym występie przeciwko Zawiszy. Szczytem wszystkiego był rajd Koseckiego (połączony z żonglerskimi popisami) w kierunku... własnej bramki. Skończyło się na podaniu piłki Maciejowi Szczęsnemu”.

Kapera też nie wytrzymał: „Chciałbym chociaż raz w życiu zajrzeć do głów piłkarzy – co myślą, o co im właściwie chodzi”. Ja sam w rozmowach z dziennikarzami też nie zamierzałem gryźć się w język. „Ludzie na mnie gwiżdżą, a ja daję z siebie wszystko. Czasem odnoszę wrażenie, że po prostu nie znają się na piłce, bo gwiżdżą nawet wówczas, gdy wygrywamy. Wiosną zamierzam udowodnić, że stać mnie na wielką grę. Chcę wyjechać za granicę” – mówiłem facetowi z „Piłki Nożnej”.

Byłem w podłym nastroju, a w dodatku mało brakowało, by pierwsza część rozgrywek zakończyła się wielkim skandalem ze mną w roli głównej. Wracając z wyjazdowego meczu przeciwko Lechowi Poznań, wypilem piwo. W Warszawie przesiadłem się do swojego auta.

Ostro grzałem, gdy nagle przy skręcie na Piaseczno zobaczyłem przed sobą ciężarówkę. Od razu dałem po hamulcach, ściąłem znak i wałęsałem w słup. Choć bolało mnie całe ciało, wyszedłem z samochodu, próbując ochłoniąć i ułożyć jakiś plan działania. Zanim jednak doszło do mnie, co tak naprawdę się wydarzyło, zobaczyłem na horyzoncie milicyjną nyskę. Wiedziałem już, że mam przerąbane. Oczami wyobraźni widziałem nagłówki gazet o gwieździe Legii Warszawa, która wsiadła za kółko pod wpływem alkoholu. Tymczasem z nyski wyłoniło się dwóch panów w mundurach i nagle usłyszałem:

- A co to się, Romeczku, podziało?

Okazało się, że tego dnia służbę miał mój kolega z Konstancina. Odpowiedziałem, że zwyczajnie wpadłem w poślizg, i nawet nie dmuchałem w balonik. Zamiast mnie zatrzymać, milicjanci wsadzili mnie do nyski i... odholowali auto do mojego garażu. Życzyli mi powodzenia w następnej rundzie, zasalutowali i się zawinęli.

- Widzisz, Jadzia - opowiadałem żonie - są jeszcze dobrzy ludzie na tym świecie. A mówiąc poważnie, oczywiście uważam dziś, że siadając za kierownicę po piwie, zachowałem się jak idiota. Musiało minąć trochę czasu, zanim zdałem sobie sprawę, że nie jestem wielkim panem piłkarzem, który może robić, co mu się podoba i nie ponieść żadnych konsekwencji. Wtedy nikt z klubu nie dowiedział się o moim wypadku, ale i tak niespecjalnie mnie to pocieszało.

Skończyliśmy sezon na siódmym miejscu. Kapera jeszcze w trakcie rozgrywek uznał, że jego czas na Łazienkowskiej dobiegł końca. Czarę goryczy przelała porażka z Olimpią Poznań. Szkoleniowiec grzmiał po meczu, że mimo 51 lat zagrałby lepiej od nas, a po kilku dniach odszedł. Jak to sam zwykł mawiać, „poszedł w pierdziut” i tyle go widzieliśmy. Sezon w roli pierwszego trenera dookończył Lucjan Brychczy. Napisał on w swojej książce, że do zwolnienia Kapery przyczyniła się w bardzo dużym stopniu wspomniana już grupa Lambada, myśląca nie tylko o grze w piłkę. Każdy w szatni wiedział, że z niektórymi zawodnikami trener zupełnie się nie dogaduje, więc w słowach Brychczego jest zapewne sporo racji.

Jeśli mieliśmy jeszcze jakieś nadzieje na tytuł, rozwiął je ŁKS Łódź w 26. kolejce. Dwa dni przed tym spotkaniem na ślubnym kobiercu stanął Jacek Cyzio. Wiadomo, że na wesele kumpla trzeba iść, więc zamieniliśmy koszulki z „elką” na garnitury i ruszyliśmy na parkiet. Andrzejowi Łatce najwyraźniej było mało, bo chyba jako jedyny z zespołu poszedł także na poprawiny, które kończyły się kilkanaście godzin przed pierwszym gwizdkiem. Niedługo po imprezie zjawił się na zbiórce w średnim stanie, ale Brychczy najwyraźniej tego nie zauważył i wystawił go w pierwszej jedenastce. Jeśli ktoś łudził się jeszcze, że alkohol zdążył już wyparować z organizmu Andrzeja, pod koniec meczu „Łata” rozwiął wątpliwości. Przejął piłkę i ruszył na bramkę, tyle że... naszą. Patrzymy po

sobie, zastanawiając się, co on wyprawia?! Zawodnicy ŁKS-u tak samo. Łatka składał się już do zagrania w pole karne Szczęsnego, ale ktoś mu krzyknął, że pomylił bramki i w ostatniej chwili się ogarnął. Jakby tego było mało, później dziennikarze dali mu najwyższą notę, a z resztą zespołu strasznie pojechali, bo przegraliśmy 0:1.

Po porażce z ŁKS-em prowadzący w tabeli Lech Poznań odskoczył na pięć punktów i dotarło do nas, że tytuł znów zaczyna odjeżdżać. Na osłodę po raz kolejny został nam Puchar Polski – tym razem w finale bez problemów uporaliśmy się z GKS-em Katowice, wygrywając 2:0. Mecz trwał co prawda 90 minut, ale nie obyło się bez „dogrywki”. Po końcowym gwizdku nasi kibice próbowali wbiec na boisko. Do akcji w porę wkroczyła policja i ich spałowała.

Mówiło się, że zdobyty puchar nie do końca spodobał się naszym działaczom. Po odejściu Kapery wypłaty i premie zostały zamrożone. Klubowa kasa świeciła pustkami, a tymczasem za pokonanie Gieksy obiecano nam 300 mln zł. Poradzono sobie z tym w najprostszy sposób. Zbyszek Kaczmarek przeszedł do Auxerre, a my mogliśmy ruszyć po należne nam pieniądze.

Od sezonu 1990/91 trenerem Legii został Władysław Stachurski, który oczyścił atmosferę. Cały czas powtarzał, że jak nie będziemy zapieprzać, tylko balować, skończymy jak „te małynowe nosy pod budką nad Wisłą”. Rządził twardą ręką. Zamiast krzyczeć na zawodników, wołał na

nas gwizdać, ale delikatnie daliśmy mu do zrozumienia, że pogwizdywać to on sobie może na dziewczyny, a nie na piłkarzy. Asystent Stachurskiego, Ryszard Kosiński, ostro jechał:

- Kosa, zapieprzaj do tyłu! Trzeba się wrócić!

- Ja? A myśli pan, że w Argentynie taki Caniggia wraca do obrony?

- Nie, ale Caniggia strzela po 20 goli w sezonie, a ty nie, więc ruszaj dupę!

Przed sezonem 1990/91 powiedzieliśmy sobie, że celem numer jeden jest pokazanie się w europejskich pucharach. Kierownictwo klubu chciało załatwić Stachurskiemu nowych zawodników i pewien generał z Warszawskiego Okręgu Wojskowego wpadł na idiotyczny pomysł, o czym opowiadał Lucjan Brychczy. Otóż pan generał wymyślił sobie, że trzeba testować pod kątem gry na Łazienkowskiej żołnierzy: 50 kilometrów biegu z ciężkim plecakiem, finisz w masce przeciwgazowej. Ten geniusz tłumaczył, że jeśli ktoś przejdzie taki test, można go brać do zespołu, bo przecież piłka nożna to bieganie. Na szczęście Stachurski miał swój rozum i wyśmiał ten pomysł.

W Pucharze Zdobywców Pucharów zaczęliśmy od pyknięcia luksemburskich przebierańców ze Swiftu Hesperange. Najpierw powieźliśmy ich na Łazienkowskiej. Potem przyjechalіśmy na ich malutki stadionik, na którym atmosfera przypominała niedzielny piknik. Dwa razy

ograliśmy ich 3:0. Na szczęście to nie były jeszcze czasy, w których Legia męczy się z zespołem z Gibraltaru albo kompromituje się z jakimś Dudelange, a później pseudo-eksperci trąbią w pięknych studiach TV, że dzisiaj nie ma już słabych drużyn. W latach 90. Legia nie miała prawa męczyć się w Luksemburgu i się nie męczyła.

Wiedzieliśmy, że ze szkockim Aberdeen, które na nas czekało, nie będzie już przelewów. Sztab szkoleniowy załatwił nagrania VHS z meczami rywala, ale okazało się, że w klubie nie ma magnetowidu. Na szczęście do akcji wkroczył kierownik Boguś Łobacz, który pożyczył od znajomego odtwarzacz oraz kolorowy telewizor. Kosiński przygotował analizę przeciwnika i podpowiedział, że Aberdeen ma stopera, który nie potrafi grać lewą nogą. Tymczasem facet tą lewą nogą rzucił kilka piłek na sześćdziesiąt metrów co do centymetra – taka to była analiza. Zresztą od początku mówiłem, że zamiast oglądać Wyspiarzy na wideo, lepiej wysłać im pocztą kilka kaset z meczami Legii, żeby zobaczyli, jak fajnie gramy w piłkę.

Tego, co przygotowali dla nas Szkoci, nie mogliśmy obejrzeć w żadnym materiale. W szatni mówiłem do chłopaków, że idziemy na wojnę. Ze stadionu dochodziły już okrzyki kibiców i dźwięki dud. Gdy wyszliśmy na murawę, zrobiła się taka wrzawa, że nie mogliśmy wymienić kilku zdań, bo jeden nie słyszał drugiego. Przed trybunami stały bandy reklamowe zrobione z cienkiej blachy. Przy każdym udanym zagraniu swoich piłkarzy Szkoci

walili w nie pięściami. To była prawdziwa bitwa, co chwilę trzeszczały kości. Już w pierwszym kwadransie szkoccy drwale załatwili w powietrznym pojedynku Leszka Piszka. „Piszczyk” dostał potężną bombę, po której przez kilka minut leżał na murawie, nie dając oznak życia. Mimo ciężkiego nokautu Leszek podniósł się z desek i próbował walczyć, ale nie do końca chyba się już orientował, gdzie jest. Zrobiło się poważnie. Szybko zapadła decyzja, że Pisz jedzie do szpitala. Diagnoza: wstrząśnienie mózgu. Boguś Łobacz opowiadał później, że gdy pojechał odwiedzić Piszka, Leszek wyglądał, jakby zderzył się z pociągiem pospiesznym – na fioletowej twarzy trudno było wskazać, gdzie jest nos, a gdzie oko.

Maciek Szczęsny błysnął kilka razy w bramce i dzięki temu wywieźliśmy z pola bitwy cenne O:O. Najbardziej byłem dumny nie tyle z samego wyniku, ile z tego, że nie pękliśmy. W rewanżu Aberdeen załatwił Krzysiek Iwanicki, który pod koniec meczu wsadził bramkarzowi gola lobem.

Jeszcze przed przerwą zimową dołączył do nas Wojtek Kowalczyk, który wszedł do szatni Legii razem z drzwiami. Kiedy zobaczyłem go w pierwszej gierce wewnętrznej, od razu się zorientowałem, że chłopak ma w sobie to coś. Był pewny siebie, a jednocześnie słuchał moich rad i rozumiał, czym jest hierarchia. Opowiadał, że oglądał moją grę z trybun Żylety. Wiedziałem już, że żegnam się z Łazienkowską i traktowałem „Kowala” jako swojego następcę.

Symboliczne przekazanie pałeczki nastąpiło w ostatnim meczu jesieni, z Zagłębiem Wałbrzych w Pucharze Polski. Wygraliśmy 3:1, a Wojtek zdobył debiutancką bramkę po moim podaniu. Gdy nasz autokar obrał kurs na Warszawę, rozpoczął się bal. „Kowal” siedział grzecznie z przodu, ale kiedy zawołaliśmy młodego, żeby wypił z nami piwko po swoim pierwszym голу, ruszył jak po swoje. Trenerzy udawali, że nic nie widzą i nie słyszą, w końcu kolejny mecz mieliśmy rozegrać dopiero za trzy i pół miesiąca. Cóż, podróż była bardzo wesoła...

Niedługo później, już jako piłkarz Galatasaray, przyjechałem do Warszawy przy okazji meczu kadry i zorganizowałem imprezę pożegnalną w klubie Remont. Legia już beze mnie wyeliminowała Sampdorię Genua, więc w ramach gratulacji dałem każdemu z chłopaków złoty łańcuszek z grawerką. Wziąłem mikrofon do ręki i powiedziałem, że na Łazienkowskiej nadchodzi czas „Kowala”. Kochałem Legię, ale wiedziałem, że zostawiam drużynę w dobrych rękach. Mogłem ze spokojną głową i siatką pełną pieniędzy wrócić nad Bosfor.